

s.6

HISTORIA PŁONĄCEGO POGRANICZA (29)

Kaszub Bernard Szweda był do września 1939 r., jako się rzekło, strażnikiem polskiej straży granicznej w Lutówku. Jego późniejsze losy mają ścisły związek z tym, co robił i kim był wcześniej. Jego życiowe przypadki są nie tylko dowodem na to, że na ludzki los składają się różne wydarzenia pozostające z sobą w związku przyczynowo-skutkowym, ale także stanowią ilustrację stosunków polsko-niemieckich na pograniczu zachodnim — w skali jednostki ludzkiej, pojedynczej rodziny.

Żywot Kaszuba Szwedy

WŁADYSŁAW STANISŁAWSKI

Swoje porachunki z Niemcami Szweda zaczął wczesnie. W dniu odrodzenia Polski po pierwszej wojnie światowej i wstąpieniu Wojska Polskiego do Nowej Karczmy był już członkiem polskiej Straży Ludowej. I właśnie w tym charakterze udawał się z innymi członkami straży: Franciszkiem Dykierem, jego bratem Józefem oraz Brunonem Millerem patrolować teren w rejonie leśniczówki Wierzyno. Oto co sam opowiada na temat tamtego epizodu:

— Gdyśmy się zbliżali do leśniczówki, zauważyliśmy, że żołnierze niemieccy (Grenzschutz) kradli siano, którego zbiegły leśniczy Niemiec Truemann nie zdołał zabrać ze sobą. Wobec tego, że Grenzschutz pięciokrotnie był silniejszy od nas, postanowiliśmy przywołać pomoc. W tym celu kolega Kuźkor natychmiast wybrał się w kierunku Nowej Karczmy. Po drodze spotkał trzech Hallerczyków, którzy z nim przybyli do leśniczówki, gdzie wraz z braćmi Dykierami omysłaliśmy plan działania.

Dowództwo nad tałocią objął Franciszek Dykier. Zajęli my stanowiska w lesie, po obu stronach drogi. Po pewnym czasie Niemcy ruszyli z trzema należowanymi sianem wozami, zaś żołnierze w liczbie dwudziestu, jechali podzieleni na wozach. Gdy zbliżyli się do nas na około 10 metrów Franciszek Dykier zatrzymał ich okrzykiem: „Ha!t — Haende hoch” (Stój — ręce do góry).

Okrzyk ten podchwyciła z kilku stron reszta kolegów z bronią przygotowaną do strza-

tu. Zasadziliśmy pojedynczego schodzenia z wozów. Niemcy, chcąc nie chcąc, musieli się poddać.

Zabraliśmy do niewoli jednego oficera, 20 żołnierzy, 20 karabinów ręcznych, przeszło 2000 naboju, 3 kisty (skrzynie) granatów ręcznych, 1 browning, 1 szablę oficerską, 3 wozy z sianem, 6 koni pociągowych i jednego konia wierzchowca.

Całą zdobycz oddaliśmy dowódcy oddziału Wojska Polskiego w Nowej Karczmie, podporucznikowi Polańskiemu. Działalność Szwedy została doceniona. Rok przed wybuchem drugiej wojny światowej Szweda odznaczony został medalem Niepodległości.

Skończył Niemcy wkroczyli w roku 1939 do Lutówki, zaraz zaczęli szukać tego strażnika, co to chciał „dać drabinę i pedzel Hitlerowi!”. Ale we wsi już go nie było. Jego żona, Franciszka, pochodząca z pobliskiego Orzelka, wyjechała wraz z trójką dziećmi (najmłodsza córka miała 2 lata, a najstarsza 13) na dzień przed wojną do swoich sióstr, Rachwałskiej i Majcher mieszkających na Saskiej Kępie w Warszawie. Już wcześniej ustalili, że punktem informacyjnym o najbliższych w rodzinie będzie zawsze siostra Szwedowej — Anna Mrozik mieszkająca w Orzelku, niedaleko Kamienia Krajeńskiego.

Rodzina Szwedy przez tydzień chroniła się na Saskiej Kępie przed bombardowaniem niemieckim. W końcu, wraz z innymi warszawiakami, chyba po dziesięciu dniach od wybuchu wojny, uciekli do Lublina. Dwuletnia córeczka nie

mogła iść pieszo, płakała i trzeba było ją nieść. Szwedowa znalazła adres strażniczki Adamczykowej, która wraz z nią wyjechała z Lutówka i udala się do krewnych do wsi Kamionki (7 km od Lubartowa).

Niebawem i do Kamionki przyszl Niemcy. Ponieważ Szwedowa nie miała tam co jeść, zdecydowała się wrócić do domu.

W Orzelku nie miała jeszcze żadnej wiadomości o mężu. On tymczasem, rozbrojony przez żołnierzy radzieckich wracał w cywilnym ubraniu do Warszawy. Żony tam jednak nie zastał. Tu zachorował wkrótce na czerwonkę... to go uratowało, bowiem przez to nie pojechał do Lutówka, gdzie był stałe poszukiwany przez Niemców. Z listu który nadszedł do szwagierki w Warszawie dowiedział się o niebezpieczeństwie, jakie czekało na niego w Lutówku.

Po wielkich trudach Szwe-

ko z dwiema małymi córeczkami.

Tymczasem do Anny Mrozek w Orzelku wpłynęła pierwsza wiadomość od zagubionej córki Szwedów, Agnieszki. Wywieziona została na roboty przymusowe do Płwy. Przebywała tam w obozowych barakach za torami naprzeciw dworca. Pracowała na torach. W styczniu 1945 roku i ją pędzono w kolumnie więźniów przez Wałcz, Kalisz Pomorski aż do Odry. I tam w rejonie Gryfina musiała kopać okopy.

Następna informacja przychodził z Orzelka od Szwedowej, która z dwiema córeczkami wywieziona została pod Częstochowę.

Najgorszy los spotkał samego Szweda. Pożółkły skrawek papieru jego listu do dziadka przechowywany przez córki mieszkające w Człuchowie. Na górze kartki wydrukowane pouczenie w języku niemieckim, podpisane przez Der Lagerkommandanta. Kartki wykonał w nakładzie 6 milionów

listów. W liście zaś czytamy: *Jestem 3 tygodnie w Auschwitz (Oświęcim). Z Franją (żoną) pożegnaliśmy się 16.9.44 r. w Pruszkowie. O Agnieszce nic nie wiem. Ona nam się już zgubiła w Warszawie. Jeśli się ona zamelduje u Ciebie, to napisz. Jeśli Franja jest w Orzelku, to bardzo bym prosił o chleb, pieniądze i tytoń, jeśli ją stać na to... Jestem na razie zdrowy. Pozdrawiam Cię, do szybkiego zobaczenia. Twój szwagier Bernard.*

Dalsza korespondencja od Szwedy wpłynęła już z obozu koncentracyjnego w Buchenwaldzie. Jest przy niej kilka adresów kolegów z Buchenwaldu oraz bon Arbitskommando A6, na wartość jednej marki.

W przechowywanych dokumentach znajduje się też upoważnienie Zarządu Gminy w Kamieniu Pom. z dnia 7.8.1945 r. z okrągłą pieczęcią z orłem polskim: *Obywatel Szweda Bernard, urodzony 22.5.1885, zamieszkały stale w Lutówku, powiatu Sępoleńskiego, ostatnio przebywał w obozie*



Repr. Jan Maziejuk

dowa wystarała się o zezwolenie na wyjazd do Warszawy z dziećmi. A na to potrzebna była decyzja samego gaulajtera Forstera w Gdańsku. W końcu znalazła się w Warszawie, gdzie maż jej był dozorcą w budynku ZUS przy ul. Puławskiej 130, a później przy ul. Włanowskiej. Tam zastało ich Powstanie Warszawskie. 14 września 1944 r. Niemcy pogнали ich na Wolę.

W pędzonej kolumnie zginięła ich najstarsza córka Agnieszka. Na Wolę oprawy hitlerowskiej rozdzielali wszystkie

egzemplarzy, jak to skrupulatnie nie wykazano u dołu listu.

Z treści pouczenia wynika, że więźniowi wolno pisać 2 razy w miesiącu albo otrzymać 2 razy w miesiącu list, zawierający nie więcej niż 15 linijek czytelnie napisanych. Nie wolno do listu wklejać żadnych zdjęć. Więźniowie otrzymać jeszcze paczkę (chleb, tłuszcz, pieniądze). Na odwrocie listu musi być podany numer więźnia, blok, a przy na zwiisku — data urodzenia. Na liście Szwedy figuruje numer więźnia 198.617 blok 5, a przy tym pieczęć: kontro-

koncentracyjnym Buchenwaldzie (Niemcy), skąd wraca i udaje się do Człuchowa (Schlochau) celem odszukania swojej rodziny.

Władze wojskowe i urzędy polskie i sowieckie uprasza się o nieczynienie przeszkód, a w razie potrzeby udzielenie pomocy lub opieki.

Bernard Szweda dotarł do Człuchowa. Pracował tam w Urzędzie Skarbowym. Zmarł w 1970 r.

Jeden z tysięcy cichych, bezimiennych, bo prawie nikomu nie znanych bohaterów Pomorza. (edn)